Rozmaitości

Dnia 9. Stycznia 2. Roku 1841.

MADELINA.

(POWIEŚĆ HRABINY BLESSINGTON.)

»Ale powiadam ci, że tego Jeseppa widywać nie powinnaś; był nieposłusznym synem, a wieś cała mówi o jego lenistwie i bezwstydności.«

Taki zakaz wyrzekł Giovanni Vitelli, jeden z najmajętniejszych dzierzawców w pobliżu Albano, do swéj jedynéj córki, Madeliny, będącéj dumą i radością podeszłego wieku jego. Łzy i wzrok proszący były jedyną odpowiedzią, jaką na surowe słowa otrzymał od łagodnéj Madeliny; ale one więcéj niż najwymowniejsza obrona, wzruszyły serce kochającego ojca. Przycisnąwszy córkę do serca westchnął: »Biedne dziecię! nie mniemaj, że umyślnie boleść ci sprawiam. *Madonna* wié, ile cierpię na widok łez twych i bladego lica; ale Joseppe jest w istocie niegodnym ciebie, a związek z nim tylko nieszczęcie przynieść ci może.«

—»Ach ojcze! za ostro go sądzisz« odrzekła płacząca dziéwica. »Nie przeczę, że jest trochę za leniwy i lekkomyślny, ale serce ma niezłe i poprawić się jeszcze może.«

»Nie gniewaj mnie taką obroną. Lecz takto zawsze z kobiétami; sądzicie że mężczyzna nie może być złym, jak długo miłość ku wam zmyśla, i że to serce jest klejnotem, w którém zdaje się wam że panujecie. — Czyliż, gdyby serce jego było dobrém, mógłby był popełnić niedorzeczność, co mówię występek, który biédną matkę jego do grobu wtrącił?«

—»Joseppe żałuje za to, co złego uczynił, wierzaj mi kochany ojcze.«

»I [illegible] okazuje« przerwał Giovanni, »że s[illegible] gospodarstwo swoje zupełnie w zan[illegible]e puszcza i po górach się wałęsa, gdzie, jak wieść niesie, ma najniebezpieczniejsze i najszkaradniejsze związki. Sam nawet nasz zacny kapłan powiadał mi....«

— »Cóż po[illegible]ał?« zapytała Madelina i bardziéj jeszcze zbladła. »Czy i on o co obwiniał Joseppa?«

»Dał mi do zrozumienia, że młodzian ten złą drogą chodzi; że potajemnie obcuje z ludźmi, o których powszechnie źle mówią; i że nigdy w nocy nié ma go w domu, a nikt nie wié, gdzie i czém się bawi.«

Ojciec z córką nie przeczuwali, że młodzian ich rozmowę podsłuchał i zemstą w piersiach dyszé. Joseppę skradał się około domu dla widzenia się z Madeliną, i przez otwarte okno słyszał wszystko, co mówiono. Minęło kilka dni a Madelina ani widziała Joseppa, ani nic o nim nie słyszała, i postanowiła pójść za radą ojca, do którego była czule przywiązaną. Lubo nie mogła bez łez o tém pomyślić, że trzeba będzie nazawsze zaniechać Joseppa; nie chciała jednak staremu ojcu swojemu przez to zatruwać spokojności, ażeby sprzyjać oblubieńcowi, którego on tak bardzo nienawidził.

»Nie, kochany ojcze« myśliła luba dziéwczyna będąc samą, »twoja Madelina nigdy cię nie opuści; straciłeś wierną towarzyszkę, która ciebie i mnie uszczęśliwiała, a dziecko twoje nie zrobi ci zgryzoty.«

Wszelka myśl o matce, za której trunną przed dwoma laty szła Madelina, rozrzewniając jéj serce powiększała miłość ku ojcu; jednakże miłości do Joseppa zawsze jeszcze pokonać nie mogła, mniemając, że nikogo tém nie obraża, gdy pamięć jego w swém sercu przechowuje. Troskliwie unikała wszelkich miejsc, gdzie zwykle zdybywała się z kochankiem, lubo nieraz westchnęła na to, i nieraz z utęsknieniem wyglądała przeze-drzwi, ażali go nié ma w poblizkości.

Dziesiątéj nocy po owym zakazie nie widzenia więcéj Joseppa, obudziło Madelinę ze snu lekkie stuknienie w okno. O jakże na to tak dobrze znane hasło zadrzało jéj serce! Tymczasem pomyśliła o sw[illegible] postanowieniu i nie ruszyła się z [illegible]; gdy głośniéj pukać zaczęto, lękają[illegible] ażeby ojciec nic usłyszał, wstała nares[illegible] otworzyła okno.

»Okrutna Madelino!« rzekł Joseppe »ileż dni nie skradałem się około domu, dla widzenia ciebie! Głupiec je[illegible]m, że cię tak bardzo kocham, gdy ty n[illegible]wdzięczna już mnie kochać nie chcesz.«

—»Ach, Joseppe, jakże tak mówić możesz! Wiesz jak mi drogim jesteś i jak mnie to boli, że mi widywać się z tobą nie wolno, ale ojciec zakazał mi, i teraz już mówiąc z tobą jestem rozkazom jego nieposłuszną!«

»I ty nie wiesz dla czego on tak okrutnym?« zapytał z szyderczym uśmiéchem kochanek.

—»Wiém aż nadto dobrze« odrzekła dziewica; »dla tego, że gospodarstwo swoje zaniedbujesz; że tak często i długo p[illegible] górach się wałęsasz; i że, co najgorsza, masz mieć znajomości ze złymi ludźmi, których się wszyscy lękają. Te są powody, dla czego nas ojciec roziącza.«

»Nie wierz temu«, odezwał się przebiegły Joseppe; »wszystko to skłamane, zmyślone, by cię przeciw mnie oburzyć i skłonić do pójścia za starego bogatego Tomasa.«

—»Co mówisz?« zawołała przelękniona Madelina; »nie, to niepodobna; ojciec mój nie może być tak okrutnym; nie, Joseppe, ja temu nie wierzę.«

»Wiém, że ty o mnie tylko wszystko złe wierzysz« odparł Joseppe; »wtedy żadna bajka nie jest do prawdy niepodobną. — Wątpić będziesz o zamiarach twojego ojca, aż ci rozkaże wziąć za męża starca, a wtedy będziesz za nadto posłuszna córką, iżbyś rozkazom jego oprzeć się śmiała. Ale [illegible]óż daremnie czas tracę na bezskutecznem [illegible]waniu zdjęcia z ócz twoich zasłony. [illegible]nam cię wiarołomna! Bądź szczęśliwa, [illegible]zas gdy ja« — i odchodził przepełniony [illegible]ciami rozpaczy.

[illegible]Zostań, na miłość boską zostań kocha[illegible]eppe! W istocie o niesłuszność mnie p[illegible]asz. Kocham cię tak wiernie i szczé-rz[illegible] jak zawsze, a *Madonna* wié jak mi to z trudnością przyszło być posłuszną ojcu i ciebie unikać!«

»Możeszli zapomnieć« odrzekł Joseppe, »jak często przysięgałaś, że moją będziesz? Możeszli zapomnieć o tém, jak prędko biegłaś dawniéj do okna, skoro tylko zapukałem? Bardzo się zmieniłaś Madelino.«

—»Nie, nie« odpowiedziała biédna dziewczyna, »ja cię zawsze jeszcze kocham.«

»To dowiedź!« zawołał Joseppe »i pozwól bym jutro przyszedł do ciebie. Ojciec twój pójdzie do Rzymu dla nakupienia owiec; cały dzień go nie będzie, przeto możemy bez wszelkiéj przeszkody pogadać z sobą — może po raz ostatni. Twój przyszły małżonek idzie z nim także do Rzymu, dla porobienia sprawunków na wesele. Widziałem ich wczoraj wieczorem, jak coś bardzo naradzali się z księdzem, i wiém, że już wszystko skończone.«

Szmer w izbie zwrócił uwagę przelęknionéj Madeliny; zadrzała z przesądnéj bojaźni widząc jak płomień lampy, palącéj się przed *Madonną,* tak mocno bił o szkło, aż to w tysiączne rozprysnęło się kawałki.

»Patrz!« rzekła z trwogą dziewica, »co za nieszczęśliwa przepowiednia; — zniszczony dar poczciwéj matki mojéj, który przy urodzeniu się mojém *Madonnie* ofiarowała! Ach, Joseppe, nieszczęście to z tąd poszło, żem była ojcu mojemu nieposłuszną«, rzekła i łzy potoczyły się po jéj licu.

»Czy nie widziałaś« podchwycił Joseppe, »że szkło właśnie w téj chwili pękło, kiedy ci opowiadałem, że już wszystko do twego zamęźcia z Tomasem przygotowano? *Madonna* przestrzega, że cię opuści, skoro

zezwolisz na ten okrutny związek. Wierzaj, to ci znak ten wróży: iż nie będzie żadnych złych skutków, jeźli, na co poprzysięgłaś, mnie wierną pozostaniesz. Ale teraz muszę odejść — jutro, skoro starzy się oddalą, przyjdę do ciebie. Aż do tego czasu bywaj zdrowa moja Madelino.« I zniknął, za-nim powiedzieć mogła, że jutro widzieć go nie chce.

Madelina bezsennie noc przepędziła; przekonanie, że się ojcu nieposłuszną stała, spokoju jéj nie dało; ale i myśl o oddaniu ręki Tomasowi mocno ją dręczyła.

Widząc nazajutrz ojca, piérwszy raz w życiu nie śmiała podnieść wzroku na niego. Niespokojność jéj, blade lice i zapłakane oczy, przywiodły Giovaniego na myśl tę, ażali nie jest słabą; ujął ją czule w objęcie i pobłogosławił, jako jedyną rozkosz swoję. Chciała już rzucić się mu do nóg i wyznać swoje przewinienie, gdy w tém stary Tomaso zawołał, czy Giovani w podróż gotów. Ojciec czuléj niż zwykle pobłogosławiwszy ją raz jeszcze, poszedł do swego sąsiada i przyjaciela.

Dziéwica stała we drzwiach i patrzyła za ojcem; gdy się obejrzał i przyjaźnie zasłał jéj skinienie, zdawało się jéj, że powinna go przywołać i opowiedzieć mu rozmowę swoję z Joseppem. Dotąd stała we drzwiach, dopokąd ojca tylko dojrzeć mogła, a wróciwszy do izdebki rozpłakała się, jak gdyby kochanego ojca długo widzieć nie miała.

Joseppe przyszedł dopiéro w południe i pomiészany wyglądał. Mówił, że dla tego jest takim, iż dowiedział się z pewnością, że Madalina za kilka dni ma być zmuszoną pójść za Tomasa, i wmówił w łatwowierną dziewczynę, że inaczéj tego nienawistnego związku nie uniknie, jak tylko z nim uciekłszy. Namiętne przedstawienia jego i ponawiane prośby przekonały ją; ale na ucieczkę wtedy dopiéro zezwoliła, gdy ją zapewnił, że gdy pójdzie za niego, to ojciec przebaczy jéj i w dóm przyjmie z dawną miłością. Podczas gdy Madelina niektóre małe przygotowania do ucieczki czyniła, i kochanek jéj nie był nieczynnym. Narzędziem, które miał przy sobie, otworzył biurko, w którém Giovauni pieniądze chował i zabrał, ile tam było, zataiwszy kradzież tę przed niewinną dziewczyną. Przyprowadziwszy konia, wsadził nań Madelinę, która miejsce szczęśliwéj młodości swojéj opuszczała ze łzami i błogosławieństwem dla oddalonego ojca. Droga wiodła ich przez cmentarz, na którym jéj matka spoczywała, i znowu łzy jéj płynęły ujrzawszy biały krzyż z wieńcem powiędłych kwiatów, który prosty grób wskazywał.

»Pozwól niech z-siądę Joseppe, bo nigdym jeszcze tędy nie przeszła; nie pomodliwszy się za duszę téj, co była tak drogą sercu mojemu, a która może teraz ze smutkiem pogląda z góry na niegodne dziécię swoje!«

—»Nie, nie możemy się zatrzymywać« odpowiedział Joseppe; »wkrótce, wkrótce kochana Madelino; powrócimy tu znown połączywszy się u ołtarza; wtedy ducha matki twojéj o błogosławieństwo dla naszego związku błagać będziemy. Zatrzymawszy się, możemy być widziani, przeto spieszmy się.«

To rzekłszy popędził Joseppe konia, podczas gdy drżąca, zapłakana dziewica w jego objęciu rozpaczała, że ojca opuszcza, z miłości ku temu, z którym ucieka.

»Jak boleśnie zawiedzie się mój ojciec, gdy powróci, a Madelina jego dla powitania go nie wyjdzie przeciw niemu« rzekła biédna do swego kochanka.

—»A jak się zmartwi stary Tomaso, gdy swéj młodéj oblubienicy nie zastanie« dodał Joseppe, wiedząc dobrze, iż tylko podsunieniem tego nienawistnego obrazu jest w stanie żal ukoić, który już coraz bardziéj wzmagać się zaczął w jéj sercu: bo jakkolwiek mocno kochała Joseppa, nigdy jednak nie byłaby z nim uciekła, gdyby był się nie starał wmówić w nią, że ojciec postanowił przemocą wydać ją za starego Tomasa —co, jak dowodzić nie potrzebujemy, ojcu jéj nawet na myśl nie przyszło.

Nie zatrzymali się aż w Velletri, gdzie się ślub ich odbył i z-kąd, jak Madelina żądała, miano umyślnego posłać do ojca z doniesieniem o tém, co się stało, i z prośbą, by córce do domu wrócić pozwolił. Gdy to życzenie jéj Joseppe spełnić przyrzekł, oddała się zupełnie szczęściu obecności i najbujniejszym nadziejom na przyszłość.

Powabna oblubienica wyrzekła teraz owe wszystkie wyrazy miłości, które dotąd wstrzymywała w niéj skromność dziewicza, i podczas gdy małą rączką swoją przygłaskiwała czarne spadające na oczy włosy małżonka, i odgartując je, miłością rozpromienionem okiem w twarz mu patrzyła, mówiła, że dla zostania najszczęśliwszą z śmiertelnych na ziemi zbywa jéj jeszcze tylko na obecności ojca. Atoli uważała niestety, że wszelkie wspomnienie o ojcu było Josseppowi nieprzyjemném i gdy mu za to łagodne czyniła wyrzuty, rzekł: że to w prawdziwą zazdrość go wprawia, iż ona więcéj o kim innem niźli o nim myśli i że obecność jego do jéj szczęścia nie jest dostateczną.

Usprawiedliwienie to uspokoiło ją; ścisnęła go za rękę i odrzekła: »Ach Joseppe, ileż razy gdym jeszcze przy ojcu była, nie czyniłam sobie wyrzutów, że niedosyć zważam na jego

miłość i tylko o tobie myślę! Teraz gdy jesteś moim, gdy okrom śmierci nic nas już rozłączyć nie może, przebacz, że drogi obraz ojca stoi ciągle przed oczyma méj duszy. Lecz wkrótce będziemy z nim razem, a wtedy w sercu mojém tylko dla szczęścia pozostanie miejsce: bo przy tak kochanym małżonku i przy tak drogim ojcu wszelki smutek dalekim być powinien.«

Gdyby była Madelina przeczuwała co w sercu jéj męża działo się podczas takich rozmów, byłaby z obrzydzeniem wyrwała się z jego objęć i ze zgrozą odtrąciła od siebie rękę, którą teraz z wszelką tkliwością kochającéj żony przyciskała do swego serca!

Nazajutrz przybył posłaniec z Albano z okropną wiadomością, że Madelina nie ma już ojca. On i stary Tomaso, towarzyszący mu do Rzymu, zostali obaj w drodze napadnięci, zrabowani i zamordowani, i wyprawiono żołniérzy w góry dla ścigania rozbójników, którzy tę zbrodnią popełnili.

Jest niepodobieństwem opisać ciérpienia serca nieszczęśliwéj Madeliny. Oskarzając się gorzkiemi wyrazami, że nieszczęścia tego stała się powodem opuściwszy dóm rodzicielski, ściągnęła na siebie przykre wyrzuty małżonka, ileże ją bynajmniéj przekonać nie mogły przedstawienia jego: że mord byłby popełnionym czy ona byłaby w domu lub w drodze do Velletri, i że ucieczka jéj żadnego wcale z tym nieszczęsnym wypadkiem nié ma związku. Chciała niezwłocznie powrócić dla widzenia zwłók ojca i tak błagalnémi prośbami nalégała na Joseppa, że ten długo opiérając się, nareszcie zezwolić musiał. Wielkość smutku Madeliny sprawiała mu więcéj nieprzyjemności niżli udziału.

»Czyliż mnie nié masz?« zapytał w tonie zakrawającym więcéj na zarzut niżli na pocieszenie, podczas gdy biédna bez pociechy zostająca niewiasta, tylko o ojcu myśléć mogła, którego utraciła, a który padł pod razami skrytobójców.

»Byłam tak szczęśliwą i wesołą podczas gdy jego mordowano!« wołała. »Ach ojcze, kochany ojcze! ani pomyśliłam o tém, że cię po raz ostatni widzę, gdym stała we drzwiach a ty trzykroć obejrzałeś się za mną! Czyliż zabójcy nie mieli litości nad twoją siwą głową, nad témi szanownémi włosami, które tak często całowałam!«

Ponury wzrok Joseppa odpychał nieszczęśliwą niewiastę z objęć jego i nie był dowodem wzbudzonego w nim współczucia. Po raz piérwszy przekonała się, że niestety nie dostała w nim takiego człowieka, któryby miłośnie dzielił z nią przygody życia i te pocieszaniem osłodzić się starał!

»Gdy on« pomyślała sobie, »może być tak nieczułym na ciérpienia téj, która dopiéro dzień jeden jest jego żoną, gdy nawet smutku mojego po najlepszym ojcu nie podziela — więc to jest człowiek bez serca! Ach ojcze przestrzegałeś mnie, ale ja byłam głuchą na twą przestrogę, na ostatnią, jaką dałeś twemu politowania-godnemu dziecku.«

Nim Madelina z mężem wróciła do domu w Albano, już zwłoki jéj ojca i starego Tomasa pochowano. Wypadek ten, który jéj smutek powiększał, ileże spodziéwała się raz jeszcze ujrzéć czcigodne oblicze tego, którego więcéj na téj ziemi widziéć nie miała, zdawał się cieszyć Joseppa, czyniącego kilka zimnych uwag o bezpożyteczności poddawania się tak zupełnie smutkowi i patrzenia na widok, który już i tak bardzo dotknięte jéj serce, mógł jeszcze więcéj zakrwawić. Sąsiedzi starali się pocieszyć Madelinę, a ta z ich udziałem połączona uprzejmość przykro odbijając od nieczułości Joseppa, tém boleśniejszą jéj była. Cały po ojcu Medaliny pozostały majątek przypadł teraz Joseppowi; ten pozyskawszy tym sposobem środki do wygodnego życia, na krótki czas okazywał chęć zajęcia się gospodarstwem, układając plany do ulepszenia dzierżawy. W ciągu tego krótkiego czasu wielki smutek żony jego przemienił się w cichą melancholiję, ale miłość jéj do męża tém gorętszą się stała. Lubo z żalem spostrzegała w nim samolubstwo i ową bezwzględność na wszystko, co się do jego własnéj nie przyczyniało przyjemności, wszelako z poświęcającą się tkliwością była doń przywiązaną.

Nie miano dotąd żadnéj o zabójcach poszlaki, chociaż rząd papiezki za ich wyśledzenie i schwytanie wielkie wyznaczył nagrody, i żołniérze dla ich wykrycia ciągle góry przepatrywali. Miesiąc po miesiącu upływał a Madelina była bliską zostania matką. Okoliczność ta, która, jak spodziéwała się, powiększyć była powinna miłość małżonka ku niéj, zdawała się mu raczéj być nieprzyjemną, i uczucia jéj jako niewiasty i żony nie raz mocno obrażał swémi dzikiémi uwagi.

Témi czasy obudziła się raz w nocy i z wielkiém zdziwieniem nie spostrzegła Joseppa obok siebie. Wstała, okryła się płaszczem, i dosyć wcześnie jeszcze wyszła we drzwi, by widziéć postacie dwóch oddalających się płaszczami osłoniętych ludzi, którzy żegnali się z wracającym do domu Joseppem. Ten ujrzawszy żonę, mocno się rozgniewał i rzekł: »Czyliż domu ani na chwilę opuścić nie mogę, ażebyś mnie jak szpieg nie śledziła? Zakazuję ci oddąd chodzić za mną; powtarzam, że nie chcę, by na mnie baczność zwracano.«

Serce biédnéj Madeliny zadrzało na to dzikie nieprzyjaźne obejście się małżonka i unikała trwożnie jego ponurego groźnego wzroku. Nową niespokojność i obawę uczuła nieszczęśliwa niewiasta uważajac, że sąsiedzi już nie tak chętnie jak dawniéj dom jéj odwidzają, by z nią wieczorem na rozmowie czas przepędzili. Zastawszy ją samę bez jéj małżonka, byli tak uprzejmi, poufali, przyjacielscy, jak dawniéj, zdawała się nawet spostrzegać pewną litość w ich postępowaniu, co ją na ten domysł naprowadzało, że dzikość Joseppa nie uszła ich uwagi.

Skoro on był przy niéj, śpieszno przechodzili mimo jéj domu, pogadali słów kilka lub wymuszonym zbyli uśmiéchem i zdawali się unikać go widocznie. Uważał i on tę do niego odrazę sąsiadów i nie raz na to z tajemną dał się słyszéć groźbą.

Odtąd po całych dniach nie bywał w domu, tak ponuro wyglądał i tak dziko sobie postępował, że Madelina pytać go nawet nie śmiała, dokąd idzie lub z-kąd powraca.

Nareszcie została matką chłopięcia i uczuła dla tego dziecka nietylko wszelką tkliwość, do jakiéj kochające jéj serce zdolném było; ale przyjście jego na świat wzmogło jeszcze bardziéj namiętne przywiązanie do jego ojca, pod czas gdy ten zaledwo uważał dziécię; a gdy Madelina, co się często działo, czyniła go bacznym a przyjemność i piękność dziécięcia, ponuro odpowiadał, że nic szczególnego w niém nie widzi, że jest takiém jak inne dzieci i tylko krzykliwszém od innych. Jakże głęboko i boleśnie ranił wyrazami takiémi serce młodéj matki! Nieczułość jego wszakże nie mogła miłości jéj dla niegodnego męża oziębić.

Pleban z Albano kazał pewnego dnia powiedzieć Joseppowi, by do niego przyszedł. Wezwanie to zmiészało go i uczyniło w najwyższym stopniu niespokojnym tak, iż długo wcale pójść nie chciał. Wahając się czas niejaki poszedł nareszcie, a gdy powrócił, uważała Madelina, że czoło jego więcéj się jeszcze chmurzyło i groźniejszém było niż piérwéj, i że jakaś zła namiętność w sercu jego walkę toczy. Mruknął kilka niedokończonych wyrazów, zgrzytnął zębami, a z ócz miotał pioruny gniewu. Gdy się wywiadywała, czego chciał pleban od niego, odrzekł rozkazującym tonem, by go o to więcéj nie pytała.

Następnéj nocy Madelina leżąc bezsennie na łożu i rozmyślając nad tém, co pleban mógł mówić z Joseppem, usłyszała ciche pukanie do okna. I Joseppe usłyszał je. Wstawszy ostrożnie i cicho, pojrzał na żonę, jak gdyby się chciał przekonać czy spi. Z lekka na palcach wymknął się z domu i nie wrócił aż dnieć zaczęło. Większą część dnia strawił potém w łóżku, mówiąc że mu niedobrze; lecz gdy zmrok padł na ziemię, znowu wyszedł z domu, powiedziawszy żonie, że dzień lub dwa dni zabawi. Drugiego dnia po jego odejściu, Madelinę równie przestraszyło jak i domysłami zatrwożyło przybycie żołniérzy, którzy wpadłszy do domu, wszystkie kąty za Joseppem przetrząśli.

»O cóż — o cóż go obwiniają?« zapytała drząca niewiasta, nie mogąc okropnego uczucia, że jaki występek popełnił, od tego wieczora się pozbyć, gdy miał ową tajemniczą schadzkę z obcymi ludźmi w nocy i odtąd często w domu nie bywał.

— »Czy nie wiész, że poczciwego plebana z Albano wczoraj zamordowano?« odpowiedział jeden z żołniérzy, »i że twój mąż...«

»Milcz!« rzekł dowodzący, »nie przyszliśmy tu dla odpowiadania, lub tłumaczenia się z naszéj bytności. Gotuj się niewiasto pójść z nami do Rzymu, gdzie cię do więzienia zaprowadzić mamy.«

— »Do więzienia! Ach Matko Boska, cóżem ja zawiniła?« zawołała nieszczęśliwa Madelina. »Jestem niewinna, w istocie jestem niewinna«, i padła przed żołniérzami na kolana. W téj chwili nadeszło kilku sąsiadów, którzy ulitowawszy się nad nią prosili żołniérzy, ażeby nieszczęśliwéj niewiasty z domu nie uprowadzano.

»Ona jest dobra i niewinna« mówili, »i nic złego nie popełniła, jak tylko że poszła za niegodziwego człowieka.«

Żołniérze nie mając istotnego rozkazu uwięzienia Madeliny, łatwo przystali na zostawienie jéj w domu, a sami poszli ścigać Joseppa i jego towarzyszy. Niektórzy z najprzyjaźniejszych i najlitościwszych sąsiadów, chcieli przez noc przy niéj pozostać; lecz ona nie przyjęła tego pod pozorem, że będąc przygodami dnia dotknięta, potrzebuje wywczasu i zaraz położyć się myśli.

Nieszczęśliwa Madelina po oddaleniu się wszystkich obcych z domu, postanowiła udać się w góry, wyszukać męża, i powiedzieć mu, że jest ściganym. Którędy ma pójść nie wiedziała; musiała się spuścić na Opatrzność, by ta kiérowała jéj krokami. W domu nie mogła pozostać, bo niebezpieczeństwo grożące mężowi w najokropniejszéj postaci jawiło się ciągle jéj udręczonéj duszy. — Chciała go wyszukać i donieść o czekającém go niebezpieczeństwie, choćby śmierć nawet miała być jéj losem. Obejrzała się po małéj izdebce, w któréj najszczęśliwsze dni młodości przeżyła. Każdy sprzęt, który długim użytkiem stał się jéj miłym i drogim, różnym sposobem przypominał jéj utraconych rodziców. Tu stało stare poręczowe krzesło, na którém

ojciec po pracy dziennéj zwykł był odpoczywać, a tam wisiał różaniec matki, na którym ją tak często modlącą się widziała; wisiał on na tym samym goździu, o który opiérał się obraz *Madonny* z palącą się lampą u spodu. Zdawało się, że obraz litościwie na nią pogląda, i w najgorętszéj modlitwie padła przed nim na kolana.

»Ostre dzikie obchodzenie się i zaniedbywanie w najwyższym stopniu, wszystko to bez szemrania znosiłam«, łkając mówiła Madelina; »znosiłam czując, że na to zasługuję, iż życzeniom i rozkazom ojca mojego nie byłam posłuszną; ale ażeby pierś, na któréj ta głowa spoczywała, miała być siedliskiem zbrodni; ażeby ręce, które usta moje tylokrotnie całowały, miały być krwią zbroczone, ach! to za nadto okropnie i zgrozą serce moje przejmuje. Ale nie, nie chcę temu wierzyć, moje dziécię, moje kochane dziécię«, dodała spojrzawszy na dziecko spokojnie w kołysce śpiące, »ojciec twój nie może być mordercą!« Owinęła dziécię ciepłą chustką, wzięła je na plecy, okryła się płaszczem, cicho wyszła z domu i udała się samotną drożyną, wiodącą na *Monte Cavo*, na najstromszą z gór okolicznych. Lada szelest ją trwożył, lada cień strachem przerażał; jednakże śmiało co raz daléj postępowała, bo nadzieja ocalenia małżonka dodawała siły jéj nogom i odwagi drżącemu sercu. Księżyc zeszedł w całéj okazałości, na bezchmurnym widokręgu wszystko śrébrzystém oblewając światłem, a gdy dostała się na szczyt góry, daleki krajobraz rozpostarł się przed jéj oczyma. Cisza grobowa zalégająca do koła, mocno odbijała od burzliwéj niespokojności jéj uczuć. Gdy zatrzymawszy się nakoniec usiadła dla wypocznienia i nakarmienia dziecka, o co takowe już od pół godziny słabém upominało się kwileniem; głęboka melancholija zdawała się zajmować miejsce trwogi chwil upłynionych. Lecz któż zdoła odmalować rozpacz nieszczęśliwéj matki, gdy się przekonała, że pierś jéj nie jest już w stanie udzielić zwyczajnego pokarmu zaschłym ustom dziecka, którego płacz serce jéj rozdziérał! Przestrach i trwoga ostatnich godzin sprawiły to, i tu już opuściła ją wszelka otucha. Wstała z kamienia, na którym była usiadła i drżąc na całém ciele szła daléj, usiłując płacz dziécięcia tém uspokoić, że usta swoje do jego usteczek przykładała; przyczém gorące łzy jéj na twarz niewinnego dziecka padały.

Z utrudzenia prawie na ziemię padłszy spostrzegła coś świécącego, ruszającego się w chaszczach w niejakiéj odległości, i nim miała tyle czasu dójść coby to było, obskoczyło ją czterech ludzi, których ubior i broń za nadto wyraźnie ich stan zdradzały, iżby o tém jaka wątpliwość być mogła. Jeden z nich wstrząsł ją za ramię i zapytał o nazwisko, podczas gdy drugi niestósownemi wyrazami zwrócił uwagę na jéj piękność, dodawszy, że byłaby pożądaną zdobyczą do ich jaskini.

Przestrach niemal mowę jéj odjął; dziécię ze snu ocknięte, w który z osłabienia zapadło, zaczęło znowu płakać i pomnażało tém bardziéj jeszcze cierpienia nieszczęśliwéj matki.

Na raz usłyszano w pewném oddaleniu gwizdnienie; jeden ze zbójców podobnież odpowiedział, i przybyło dwóch innych. W jednym z nich poznała biédna Madelina w ubiorze rozbójnika męża swojego obarczonego winą. Na chwilę zdawał się być zmiészanym, że go odkryto; lecz wkrótce odzyskawszy przytomność, groźnie zapytał żonę, dla czego ośmieliła się iść za nim. Zaledwo kilku na prędce wyrzeczonémi słowy zdołała donieść mu o niebezpieczeństwie, w jakiém zostaje, gdy jeden z rozbójników wpadł bez tchu prawie z tą wiadomością, że znaczny oddział wojska się zbliża; gdy takowe za-nadto było w liczbie przeważającém, a opór przeto byłby zupełnie nadaremnym, nic więc nie pozostawało, jak niezwłocznie uciec w chaszcze i tam się ukryć. Rozbójnicy rozbiegli się uciekając w różne strony. Joseppe zarzucił płaszcz, kazał Madelinie pójść za sobą i pospieszył w gęstwinę lasu, gdzie spodziéwali się ujść śledczemu oku zbirów. Dostali się do najgęstszéj zarośli, on strzelbą odgiął gałęzie, ukrył się pod nie z żoną i nakazał, by się ani ruszyła.

Słyszano w oddaleniu głosy żołniérzy; Madelina w nieméj trwodze objęła Joseppa obu rękoma, bo tylko jego niebezpieczeństwem była zajętą, a o swoje bynajmniéj nie dbała. W chwili téj gdy już słychać było kroki co-raz zbliżających się żołniérzy, dziecko znowu płakać zaczęło. Madelina uczuła, że mąż wyciągnął rękę ku dziecku i płacz natychmiast ustał; lecz zaraz także przyszli i żołniérze, których głos dziecka przywabił i zaczęli bagnetami trącać w chaszcze. Tym sposobem Madelinę raniono w ramię, ale najmniejszy głos boleści z ust jéj nie wyszedł; tylko mocniéj przycisnęła dziecko do siebie, które jéj krew ciepła oblała. Drugi bagnet zranił Joseppa, a mimowolne poruszenie jego zdradziło ich. Śród radości i złorzeczeń wywlekli ich żołniérze; atoli przemoc ta nie tyle była straszną Madelinie, ile złorzeczenia i przekleństwa, jakie na nią Joseppe miotał, obwiniając ją ze wzrokiem wściekłości, iż ona jedynie jest przyczyną, że go schwytano. Nawet żołniérze tak dalece oburzyli się tą jego srogością, że wiążąc go zadali mu kilka

dotkliwych razów; na co Madelina rzuciła się między nich a męża, błagając, by mu nic złego nie czyniono.

Teraz dopiéro zwróciła Madelina baczność swoję na dziecko — alež o nieba! któż potrafi jej przerażenie, jéj rozpacz skréślić, gdy światło księżyca pokazało jéj twarz ulubieńca zsiniałą i zeszpeconą i gdy uczuła, że trupa na ręku trzyma. Wyrodny ojciec udusił dziecko, dla utłumienia płaczu jego.

Joseppa zaprowadzono do Rzymu, gdzie przyznawszy się, że nie tylko plebana, ale także ojca swej żony i starego Tomasa zamordował, zbrodnie swoje życiem przepłacił. Rozum Madeliny nie upamiętał się już więcéj z owego okropnego przerażenia, jakiego doznała odkrywszy śmierć swego dziecka. Żyła odtąd w domu obłąkanych, bynajmniéj na los swój nie narzekając i tylko w cichéj melancholii pogrążona. *S. J.*

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 1. i obejmuje: 1) Wstęp do 1841 roku. 2) O uprawie lnu i konopi w Belgii. 3) O postępowaniu przy kupnie koni. 4) Łatwo sporządzić się dająca karma zimowa. 5) Kit do żelaznych kotłów. 6) Wiadomości czasowe: Jaki ma być rok 1841 co do pogody.

Numer 1. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego pr. Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Noc 24. grudnia. 2) Poezyja: Panie dobroczynne. 3) Użyteczność kuzyna. 4) Rozmaitości.

Jedną z pożytecznych książek, które w tych czasach u nas się pojawiły, jest niezawodnie nakładem Jana Milikowskiego na pięknym papiérze wydana: *Francuzka gramatyka praktyczna, napisana przez Kaspra Hircla, a przez Jana Julijana Szczepańskiego, nauczyciela języka polskiego w c. k. lwowskiéj akademii realnéj i handlowéj, z dwunastego w niemieckim języku poprawnego wydania przełożona i do właściwości polskiego języka zastosowana.* Francuzka ta gramatyka jest ze wszystkich dotąd w języku polskim najdokładniejsza, gdyż autor i tłumacz wyczérpali w niéj wszelkie, jakie tylko być mogą o języku francuzkim prawidła, a wykładając je jasno i zrozumiale, starali się wszędzie wesprzéć takowe stosownemi i dobranémi przykładami. Tudzież nieograniczając się na samych gramatycznych prawidłach, przykładach i ćwiczeniach, zebrali także wyrazy blizkoznaczne, homonymy, przytém właściwości języka francuzkiego, polonizmy, nakoniec wyrazy do ćwiczenia pamięci i powiastki. — Zważywszy jak nieraz wiele czasu daremnie traci się na uczeniu języka z gramatyki, w któréj albo nie wszystkie wątpliwości gramatyczne dokładnie są rozwiązane, albo téż najważniejsze prawidła opuszczone lub niejasno wyłożone, zwracamy na powyższą gramatykę publiczności uwagę w tém przekonaniu, że zupełnie swemu celowi odpowiada.

Donosiliśmy już w zeszłym roku, że pan H. N. Bońkowski tłumaczy z czeskiego Pawła Józefa Szafarzyka *Starożytności sławiańskie.* Przekład ten zacięto już w Poznaniu drukować i wdzięczni jesteśmy tłumaczowi, że nam przyswoił dzieło, tak bardzo ogół sławiańszczyzny obchodzące; bo cóż może być więcej zajmującem dla myślącego człowieka, jak przez mgłę przeszłości dojrzéć choć w ciemnych zarysach piérwiastków swego plemienia, rozświéconych krytyczną pochodnią dziejów.

Literatura czeska: *Archiw czeski, czyli stare pisemne pamiątki czeskie i morawskie.* Z archiwów krajowych i zagranicznych, zebrał i wydał Franciszek Palacki, historyjograf Stanów królestwa czeskiego, członek i sekretarz król. czeskiego towarzystwa nauk i t. d. Tom piérwszy w Pradze 1840, z tłoczni synów Bogumiła Hazego. Pożyteczną byłoby rzeczą, a oraz bardzo pożądaną, gdyby kto w kraju naszym, w Galicyi, zajął się podobnym zbiorem pisemnych dawnych pamiątek, do kraju tutejszego odnoszących się, a jeszcze zbiór ten wydał w podobiznach (*fac similach*), z dołączeniem wyczytania, gdzieby tego było potrzeba.

A...

Próżna szklanka wody. Tak właściwie nazywaćby się powinien najnowszy Scribego dramat, który publiczność paryska z wielkiémi oklaskami przyjmuje. Ponieważ w piérwszych przedstawieniach tego dramatu gdy księżna Marlborough obléwając wodą, psuła każdą razą piękną aksamitną suknię królowéj Anny, panna Plessis grająca rolę królowéj, w późniejszych przedstawieniach wymówiła sobie wyraźnie, aby szklanki wodą nie napełniano. Prawda, iż przeciw temu protestowano, lecz artystka obawiając się o piękną aksamitną suknię odrzekła: »Czyliż flakoniki z trucizną, które na scenie wychylają, są istotnie nią napełnione? albož w pojedynkach na scenie w saméj istocie przebijają się szpadą? Prawda, że szklanka wody nie jest ani trucizną, ani sztyletem ani szpadą — ale zważyć należy, że moja suknia jest aksamitna! Ztém wszystkiém spostrzeżono, iż od czasu jak księżna Marlborough na suknię królowéj Anny szklankę wody wylewać przestała, już i publiczność nie tak często na tę sztukę uczęszcza. Jakto wiele od wiernego przedstawienia zależy!

Niejedna się rzecz zdarza na świecie, o któréj naszéj filozofii ani się śniło. Zmarły tajny radca i profesor Formey w Berlinie, znany z gorliwego pokonywania zabobonu i rozkrzewiania oświaty, zaręczał o wypadku następującym: Młoda i zupełnie zdrowa hrabina L*** wyjechała jednego dnia z domu w pewne miejsce, gdzie na wieczerzy została. Około północy wróciwszy w wesołym humorze do domu, podczas rozbiérania się rozmawiała z ochmistrzynią swych dzieci. Poczém ta ostatnia pożegnawszy się z hrabiną, poszła do swojego pokoju na drugie piętro. Idąc po wschodach spostrzegła swoję panię nie w takim stanie, w jakim ją opuściła, to jest już rozebraną, lecz zupełnie w tym samym ubiorze, w którym do domu przyjechała. Postać ta przesunęła się koło niej, i w téj chwili tak wielki strach ogarnął ochmistrzynię, iż zaledwo zdołała dostać się do swego pokoju, gdzie prawie bez przytomności na sofie usiadła. Niedługo potém przychodzi do tegoż samego pokoju garderobiana, która hrabinę rozbiérała, a spostrzegłszy bladą i drżącą ochmistrzynię zapytała o przyczynę? — Atoli zaledwie ochmistrzyni wyrzekła: »Widziałem — — — już pokojówka odezwała się: »I ja także — — « to jest, widziała to samo zjawienie, i również się niém przelękła. Zastanawiając się obiedwie nad tym osobliwszym wypadkiem, wezwały hrabiego. Obiedwie niewiasty opowiedziały mu o wypadku i swoim przestrachu. Hrabia nie wyjawiając swego zdania, jako rozsądny człowiek, napomniał je, aby się uspokoiły, i przed nikim o tém nie spominały, gdyż opowiadanie to mogłoby niepokoić jego małżonkę. Niewiasty przyrzekły mu dotrzymać słowa. Hrabia odszedł, hrabina zachorowała jeszcze téj saméj nocy, a po upływie ośmiu dni, nie wiedząc bynajmniéj o téj tajemnicy, umarła. Zdarzenie to, dodaje Formey, opowiadała mi ochmistrzyni kilkakrotnie z wszelkiémi szczegółami. Toż samo potwierdziła pokojówka i małżonek zmarłej. Gdyby więc tylko sama ochmistrzyni — mówi Formey — widziała była to

zjawienie, możnaby to zewszechmiar przepisać jéj przywidzeniu; lecz ponieważ osoba ta była bardzo stateczna i od wszelkich przesądów wolna, więc przypuścić nie można, aby to skutkiem jéj urojenia było. Ale że ten wypadek wydarzył się także drugiéj osobie, która o tém, co się stało, nic nie wiedziała i do bojaźni wcale skłonną nie była, przeto niedorzecznością byłoby mniemać, że w tém zdarzeniu jakiś przypadek grał rolę.

Pan Lamartine i panna Rachel. Pisma paryskie donoszą o osobliwszych przeszkodach, jakich doznać może, nawet tak sławny poeta jak pan Lamartine, gdy zażąda, ażeby jego dramat przedstawiono. Nowy pana Lamartina dramat, ma nazwę: *Toussaint-Louverture*, a poeta prosił pannę Rachel, aby w jego sztuce rolę przyjęła. Prawda, iż to było sprawą państwa, wiedzieć bowiem należy, iż panna Rachel nie przyjmuje żadnéj nowéj roli bez rozkazu ministeryjum spraw wewnętrznych, które tak sławę jako też repertoarz młodéj artystki pod swoję szczególniejszą opiekę wzięło. Z tém wszystkiém pan Lamartine jest takim poetą, któremu nie łatwo się odmawia, bo i on także ze swojéj strony wyświadczyć może jaką grzeczność dla ministeryjum, które teatrem *Français* zawiaduje. Tym sposobem panna Rachel została istotnie upoważnioną do przyjęcia roli w téj nowéj sztuce. Poeta przysłał był już artystce niektóre ołamki swéj muzy dramatycznéj. Panna Rachel nauczywszy się w krótkim czasie na pamięć tych pięknych wierszy, wygłaszała je z upodobaniem w kole swoich przyjaciół. Pan Lamartine należy do poetów, którzy słowa dotrzymać lubią. Nie chybił on ani dnia ani godziny, w kontrakcie oznaczonéj, i z manuskryptem w ręku stawił się w sali do odczytania sztuki.—Wszyscy zwolennicy teatru *français*, okrywali ją oklaskami. Jakże wiele rokowano sobie o trajedyi, którą pan Lamartine napisał! Panna Rachel prowadzona pod rękę przez swego drogiego papę przychodzi na posiedzenie. Autor rozwinąwszy rękopis, czyta cały akt piérwszy. Odbiera powszechne oklaski. Lecz przed niewodem ryb łowić nie należy! W środku drugiego aktu pokazuje się, że osoba, którą panna Rachel ma przedstawiać jest——Mulatką! Lecz możeż to zadziwiać w trajedyi mającéj nazwę: *Toussaint-Louverture*? Wszak bohatér tego dramatu był Murzynem na wyspie Saint-Domingo, i odznaczywszy się jako naczelny wódz i prawodawca, okazał charakter, który co do szlachetności, sprawiedliwości i ludzkości, z każdym białym mierzyć się może. Lecz jakkolwiek bądź, odkrycie to sprawiło wielkie wrażenie na szanowném zgromadzeniu. Kochany papa panny Rachel zaczął być uważnym, ale mu trudno było pojąć o co chodzi. Kazał więc, aby mu całą rzecz opowiedziano, a gdy usłyszał wzmiankę o Mulatce, zerwał się w największym gniewie z swego miejsca, i rozkazał, aby powóz jego zajechał. Służący teatru wykonał natychmiast to zlecenie, a drogi papa wziąwszy jenijalną córkę swoję pod rękę i spojrzawszy na zdziwionego poetę dzikim wzrokiem, zniknął z sali. Wszelkie środki, któremi później porozumienie przywrócić się starano, na niczém spełzły; ojciec artystki ubłagać się nie daje, utrzymując, iż córka jego koloru swego zmieniać nie powinna. Z tém wszystkiém nie piérwszą to jest trajedyja pana Lamartina, któréj w *Theâtre-Français* z powodu panny Rachel nie przedstawiono. Mówią, iż ona jest przyczyną także, że i dramat Kazimiérza Delavignes: *Córka Cyda*, nie był przedstawiony. *Theâtre-Français* w całym tym wypadku okazał się bardzo neutralnym, zwłaszcza, iż Wiktor Hugo wygotował nową sztukę, a w téj dla panny Rachel jest piękna główna rola, w któréj jako biała przepysznie wystąpić może.

Poświęcenie się dziennikarzy francuzkich. Gdy przed kilką laty pewnego człowieka dla politycznego przestępstwa tracić miano, wyszedł rozkaz surowy, aby nikogo ani do więzienia ani blizko rusztowania nie przypuszczono. Pomimo tych zabiegów, na drugi dzień po wykonaniu kary śmierci, umieszczono w pewnym dzienniku obszérne opisanie wszelkich wypadków, które przy tém szkaradném widowisku się wydarzyły. Jeden tylko kat mógł tego doniesienia udzielić, i dla tego rozgniewany jeneralny prokurator zapozwał go, aby się natychmiast przed nim stawił. Kat zaczął się wypierać, że o żadnym z tych wypadków nie rzekł przed nikim ani słowa; lecz nakoniec przypomniał sobie, że przed wykonaniem aktu przyszedł do niego jakiś żebrak, który na rozkaz jego przyniósł mu z szynkowni szklankę wina i ofiarował mu swoje usługi. Kat mając pragnienie i potrzebując drugiego pomocnika, wziął tego niepodejrzanego człowieka do powozu a przeto i na rusztowanie, gdzie mu tenże bardzo ważne czynił posługi. W końcu pokazało się, że ten niepodejrzany za żebraka przebrany człowiek, który katowi posługiwał— był dziennikarzem. — Podobną odwagę w innym rodzaju okazał także drugi dziennikarz. Podczas rozruchu udał on się na bardzo niebezpieczne miejsce, by na własne oczy widzieć i opisać mógł wszelkie szczegóły wypadków. Lecz gdy nakoniec energicznie natarło wojsko i kilkakrotnie dało ognia do burzycieli spokojności, kula karabinowa ugodziła także i dziennikarza. Chirurg poskoczył natychmiast dla opatrzenia i zawiązania rany jego. Lecz dziennikarz mu rzekł: »Nie chodzi tu tak bardzo o zawiązanie rany mojéj, jak raczéj o to, że już pisać nie mogę; weź wacpan moje pióro i napisz: liczono między ludem trzech rannych a jednego zabitego.« — »Zabitego? a któż tu jest zabity? ja nie widzę nikogo«, odrzekł chirurg. — »Czyż mnie wpan nie widzisz? wszak ja jestem zabity«, odrzekł dziennikarz, i w téjże saméj chwili skonał, jak skonał Epaminondas na bojowisku, a Molier na widowni swoich popisów.

Niespodziana wizyta. Węgierski dziennik *Erdely Hirado* donosi o następującém zdarzeniu: »Do jednego domu, stojącego na samym końcu włości Domsus, w obwodzie Hatzegerskim, przyszedł wieczorem niedźwiedź w odwiedziny, a zastawszy drzwi zawarte, tymczasem przy progu się położył. W tymże samym czasie jakby od złego ducha skuszonego wilka skorciło także zagościć do téj saméj gospody. Przybywszy na podwórze, przywitał kłem chrapiącego mysia, którego jak się zdaje psem być mniemał. Niedźwiedź cokolwiek zdziwiony tak pieszczotliwą zalecanką, wywzajemnił się mu objęciem go w swoje ramiona; ale objęcie to było tak mocno-tkliwe, iż wilk pomyłkę swą życiem przepłacił. Na pisk i mruk obu zapaśników, zbiegła się cała gmina psów téj włości, i stanąwszy z uszanowaniem z daleka, wyjące oklaski im szczekała. Gospodarz usłyszawszy ten zgiełk i wrzawę, chciał wyjść dla zobaczenia gości na podwórzu, ale ujrzawszy portyjera w niedźwiedziém futrze, zasunął drzwi na wszystkie rygle, by niespodzianéj uszedł wizyty. Nazajutrz znaleziono na bojowisku poległego wilka, otoczonego zgrają wiejskich szczekaczy. Co do niedźwiedzia, ten poszedł sobie w las na przechadzkę.« *(Pannonia.)*

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera
Drukiem Piotra Pillera.